



Polska polityka zagraniczna po wyborach - ile kontynuacji, ile zmiany

Bilans polskiej polityki zagranicznej po 1989 r. jest niewątpliwym *succes story*. W nadspodziewanie szybkim tempie udało się nam ułożyć stosunki ze wszystkimi nowymi siedmioma sąsiadami, odtworzyć geopolityczną Europę Środkową, wejść do NATO i Unii Europejskiej oraz zapewnić krajowi sprzyjające zewnętrzne warunki rozwoju. Po początkowym okresie namysłów i sporów, jeszcze za rządów Tadeusza Mazowieckiego, zostały określone podstawowe zasady, cele i kierunki polityki zagranicznej Rzeczypospolitej. Wszystkie kolejne rządy wniosły, choć w różnym stopniu, swój wkład w naszą dyplomatyczną *succes story*. Liczyły się konsekwencja i kreatywność w warstwie realizacyjnej. Nikt poważny nie kwestionował założeń.

Wszystko to zaczyna się zmieniać po osiągnięciu celów zamierzonych u progu III Rzeczypospolitej. Spory nasilają się po wejściu Polski do Unii Europejskiej i zaangażowaniu się w wojnę w Iraku u boku Stanów Zjednoczonych. I oto, jeszcze przed jesiennymi wyborami, polska polityka zagraniczna znalazła się w sytuacji nieco podobnej do tej z początku lat dziewięćdziesiątych. Tym razem nie ze względu na zmianę ustrojową, którą zawdzięczamy zwycięstwu „Solidarności”. Obecnie dzieje się tak przede wszystkim ze względu na dynamikę zmian i nowe zjawiska w naszym otoczeniu międzynarodowym. Oczywiście, te zmiany nie są tak głębokie jak piętnaście lat temu. Również nasze położenie jest nieporównanie bardziej komfortowe. Jednak stanowisko Polski wobec tych nowych kluczowych problemów międzynarodowych oraz stosunki z głównymi partnerami budzą kontrowersje, wątpliwości; nasuwają się liczne pytania, skłaniające do przemyśleń i być może przewartościowań. Dotyczy to naszych głównych partnerów w Europie, Stanów Zjednoczonych, jedności Europy, czy nawet bezpieczeństwa międzynarodowego i podstaw nowego ładu światowego.

O jakie zmiany i problemy chodzi? Najpierw należy wskazać na kryzys procesu integracji europejskiej w jego dotychczasowej formule oraz na kryzys roli Europy w polityce światowej. Z tym podwójnym kryzysem wiążą się spory o model europejskiej jedności, stosunków w ramach Unii i stosunków Unii z jej otoczeniem. Słabości idei europejskiej towarzyszą przejawy renacjonalizacji polityki zagranicznej państw europejskich, choć sam proces renacjonalizacji polityki zagranicznej i bezpieczeństwa został zapoczątkowany przez Stany Zjednoczone pod rządami G.W. Busha i jego ekipy. Przykład znalazł naśladowców w Europie i poza nią. Dotyczy to w ogromnym stopniu Rosji, która konsoliduje państwo po okresie jelicynowskiej smuty, sięgając do autokratycznych metod i nacjonalistycznych haseł. Wewnętrzny kryzys polityczny i głęboka stagnacja ekonomiczna objęły naszych głównych dotąd partnerów zachodnioeuropejskich – Niemcy i Francję. Po kolejnych falach rozszerzeń i w obliczu następnych oraz w związku z pospiesznym obrastaniem w coraz to nowe funkcje i doraźne zadania w niełatwej sytuacji znalazł się Sojusz Atlantycki. Jego państwa członkowskie wyraźnie unikają dyskusji na tematy podstawowe, zadowolając się coraz bardziej rytualnymi spotkaniami i pokrępiającymi zapewnieniami, że wszystko jest jak należy. Tym samym brakuje nam platformy dialogu i jedności dla całego Zachodu. Nawet nie wiemy, czy on jeszcze istnieje, a jeśli tak, to czy warto o jego dalsze istnienie zabiegać. Wreszcie, żywiołowe procesy globalizacji przesłoniły nam zagadnienie podstaw obecnego porządku międzynarodowego. Odpowiedzią na przewagę negatywnych konsekwencji wczesnej fazy globalizacji zdaje się polityka hegemonistycznej stabilności, której sednem jest zwiększona gotowość do posługiwania się siłą militarną poza obowiązującymi normami międzynarodowymi. W tej sytuacji za zbędny może zostać uznany system Narodów Zjednoczonych z jego wartościami, zasadami i kompetencjami. Czy leży to w interesie Polski i Europy? Problemów i pytań jest naturalnie więcej. Na potrzeby niniejszej wypowiedzi ograniczmy się jedynie do nich.

*

Europa first. Podstawowym i najważniejszym kręgiem polskiej polityki zagranicznej musi być Europa. To w Europie rozstrzygają się żywotne interesy Polski: bezpieczeństwa, rozwoju gospodarczego i cywilizacyjnego oraz pozycji międzynarodowej. Z tego punktu widzenia wszystkie inne kierunki i partnerzy mogą mieć

jedynie pomocnicze i przelotne znaczenie. Europa zaś to nade wszystko Unia Europejska. To dzięki niej w Europie się dokonały i dokonują zmiany, które okazały się błogosławieństwem dla Polski, ekonomicznie słabej i cywilizacyjnie zapóźnionej po półwieczu niszczącego oddziaływania dwóch totalitaryzmów, najpierw nazistowskiego, a następnie komunistycznego. Wyobraźmy sobie krajobraz roku 1989 bez Wspólnot Europejskich. Ich istnienie i logika działania umożliwiły i umożliwiają nam przyspieszone odrabianie tego zapóźnienia. One też, choć nie tylko one, sprawiły, iż ze strony Niemiec nie grozi nam żadne niebezpieczeństwo. Przeciwnie, w zmienionych Niemczech znaleźliśmy najmocniejszego w Europie adwokata naszych dwóch podstawowych aspiracji po 1989 r. – członkostwa w NATO i w Unii Europejskiej. Do 2004 r. byliśmy skoncentrowani na walce o znalezienie się w Unii Europejskiej. Niewielką wagę przywiązywaliśmy do jej kształtu instytucjonalnego, który musi ulegać zmianie pod wpływem nowych funkcji i kolejnych rozszerzeń, zwłaszcza big-bangu, którego Polska była główną stawką. Niespecjalnie też interesowaliśmy się stanem zdrowia tego projektu, które nie jest dane raz na zawsze. Myśleliśmy o jednym: więcej i szybciej. Wśród klasy politycznej brakowało pogłębionej refleksji na temat, czym jest Europa i jej najwspanialszy projekt polityczny w historii, troski o podtrzymanie jej siły i witalności, brakowało pozytywnej polityki europejskiej i wizji konstrukcji, w ramach której powinna się dokonywać integracja europejska. Chętniej podkreślaliśmy jej rzeczywiste lub domniemane wady oraz strasziliśmy się rzekomymi zagrożeniami płynącymi z Brukseli, Paryża czy Berlina (wymagowany dyktat francusko-niemiecki).

To się musi zmienić, choć wyniki wyborów zdają się zapowiadać coś przeciwnego. Musi się zmienić na lepsze stosunek polskiej polityki do Europy. I nie chodzi tu o politykę zagraniczną, bo ta nawet wbrew impulsom wewnątrzpolitycznym była nieco bardziej Europie życzliwa. Chodzi o stosunek polskiego politycznego mainstreamu, który przyzwyczał nas do licytacji w antyeuropejskich zawołaniach. Musi się zmienić jeśli nie ze względu na europejską wiarę – nie każdy przecież jest obdarzony łaską tej wiary – to ze względu na czysty narodowy egoizm. Jeśli tak usilnie dążyliśmy do członkostwa w Unii Europejskiej, to przecież najbardziej dlatego, że fundamentem integracji europejskiej we wspólnotowym wydaniu jest zasada solidarności. Chodzi o podwójną solidarność – ekonomiczną i polityczną. Ekonomiczna pole-

ga na pomocy narodów zamożniejszych dla narodów uboższych w sposób, który tym mniej uprzywilejowanym umożliwia szybsze dołączenie do grona najlepiej rozwiniętych, czemu służą różne rodzaje unijnych funduszy. Polska w ciągu nadchodzących kilkunastu lat powinna się stać największym biorcą tego rodzaju pomocy, nie mówiąc o pokaźnych kwotach pochodzących ze wspólnej polityki rolnej. Niemale znaczenie ma także solidarność polityczna, która znajduje najpełniejszy wyraz we wspólnej polityce zagranicznej i bezpieczeństwa. Warszawa bardzo liczy na solidarność Unii Europejskiej, lecz jak wiele na to wskazuje, chodzi o solidarność jednostronną – Unii z Polską. Tak można było rozumieć solidarność przed wejściem do Unii, w jej ramach ta zasada obowiązuje w stosunku do obu stron. Nie można domagać się solidarności od „Europy”, samemu się uchylając od jej stosowania. Europejska solidarność mogłaby powstrzymać administrację Busha przed zbędną i szkodliwą z punktu widzenia interesów Europy i całego Zachodu wojną w Iraku. Bezpieczeństwa energetycznego (dostępu do zasobów ropy) nie buduje się za pomocą wojny, zwłaszcza że chodzi o specyficznie rozumiane bezpieczeństwo energetyczne Stanów Zjednoczonych, a nie Europy. Nie buduje się ekonomicznej konkurencyjności Europy w sferze nowoczesnych technologii, dokonując drogich zakupów lotniczych (wojskowych i pasażerskich) według kryteriów politycznych – za oceanem; tym bardziej że nie jesteśmy przygotowani do należytego wynegocjowania, a następnie wykorzystania amerykańskiego offsetu. Domaganie się solidarności od Europy w naszych trudnych stosunkach z Rosją czy Białorusią jest niewiarygodne, jeśli nie potrafimy być solidarni z Europą nie tylko wtedy, gdy odnosi sukcesy, lecz także wtedy, gdy wiedzie się nieco gorzej. W łonie polskiej klasy politycznej jest deficyt tego, o co apelował nieodżałowany Jan Nowak-Jeziorański, to znaczy „europejskiego patriotyzmu”. Pamiętajmy: **nie będzie solidarności Europy z Polską bez solidarności Polski z Europą!**

Przemyślenia wymaga wreszcie nasza, i nie tylko nasza, koncepcja Europy. Jeśli chcemy Europy cywilizacyjnej (a więc jednak chrześcijańskiej), nie możemy zbyt łatwo opowiadać się za takim rozszerzaniem, które będzie rozmywać jej cywilizacyjną tożsamość. Europejski projekt ma swoje granice. Popieranie szybkiego rozszerzania, notabene na cudzy koszt, nie będzie służyć jej spoistości. Chyba że istotnie chcemy jej rozluźnienia, podobnie jak Londyn, lecz wtedy zapomnijmy o zasadzie solidarności – poli-

tycznej i ekonomicznej. Jeśli chcemy Europy solidarnej, musi to być Europa wspólnotowa, to znaczy z silną pozycją instytucji bruk-selskich. W sprzeczności z tym życzeniem jest nasze opowiadanie się za Europą międzyrządową, w której do głosu dochodzą narodowe egoizmy i partykularyzmy (większe szanse daje im traktat z Nicei). W takiej Europie, jako kraj słabszy, mamy mniejsze szanse promowania naszego stanowiska. Jeśli chcemy Europy mającej silną pozycję międzynarodową, zwłaszcza w stosunkach z jej otoczeniem, powinniśmy inwestować w spoistość i skuteczność europejskiej polityki zagranicznej, bezpieczeństwa i obrony (CFSP oraz ESDP). Czy istotnie tak do tej pory było? Samodzielność Europy oznacza, iż nie może ona we wszystkim podążać za Stanami Zjednoczonymi jak za panią matką lub starszym bratem. Warto pamiętać, że trudności w stosunkach USA–Europa nie biorą się z jej nadmiernych ambicji czy rzekomego budowania tożsamości w opozycji do Ameryki, lecz pojawiają się wtedy, gdy Waszyngton zamiast przewodzić, chce dominować i domaga się posłuszeństwa Europy także w złych sprawach, sprzecznych z jej interesami (jak w przypadku Iraku). Jak naturalna może być odrębność interesów Ameryki od interesów Europy (nikt tego nie kwestionuje), tak naturalnie odrębne mogą być w różnych sprawach interesy europejskie. To tylko niektóre przykłady na to, że nasza polityka europejska powinna być gruntownie przemyślana. Także dlatego, nawet jeśli nasz wybór nie będzie w niektórych sprawach pro-europejski, żebyśmy byli świadomi jego ceny (trzeba wiedzieć, kiedy warto ją zapłacić).

Stosunki z najważniejszymi dla nas partnerami w Unii wymagają stałej dbałości. Unia jest związkiem państw, narodów i społeczeństw. Trzeba mieć świadomość istnienia różnych piętér związków łączących nas w Europie. Dobre stosunki dwustronne nie są dane raz na zawsze. W Europie i dla nas najważniejsze są Niemcy. Od 1990 r. mieliśmy w nich lojalnego adwokata w naszych staraniach transatlantyckich i europejskich. Wystarczyła jedna nielojalność Leszka Millera (nieuprzedzenie Berlina o zamiarze podpisania niefortunnego „listu ośmiu”), aby klimat tych stosunków się pogorszył. Wiele złego wyrządziła też, wprawdzie pozarządowa, idea Centrum przeciwko Wypędzeniom. Berlin jest ostatnim miastem w Europie, które powinno być gospodarzem takiego ośrodka. Niemniej festiwal niegrzeczności i radości z niepowodzeń kanclerza Schrödera, urządzony przez nasze media i dużą część polityków, w jego nie najlepszej – to prawda – końcówce,

przekraczał często granice dobrego smaku i wyczucia naszych europejskich interesów. Rzecz przykra, tym bardziej że świadcząca o bardzo krótkiej pamięci. Dogodne warunki członkostwa Polski w Unii zostały przeforsowane w ostatniej fazie negocjacji właśnie przez kanclerza i jego kraj, który poniósł główne koszty tej operacji (a nie np. uwielbiany w naszych mediach Londyn). Wybory parlamentarne w obu krajach stwarzają szanse na nowe otwarcie i powrót do dobrych stosunków, co jednak nie dokona się samo przez się. Będzie to wymagać starannych zabiegów obu stron i ostrożnego posługiwania się historią. Nie aby zapominać o przeszłości, lecz aby nie służyła ona wyłącznie za płachtę na corridzie, w którą można zamienić stosunki z sąsiadami. Jeszcze trudniejsza, i w tym przypadku nie wiadomo, czy możliwa, będzie odbudowa dobrych stosunków z Francją. Polityka Paryża wobec Polski po 1980 r. to pasmo błędów i braku wyczucia. Braku przychylności dla polskich dążeń do NATO i Unii Europejskiej oraz pouczającego tonu nie może usprawiedliwiać demonstrowany niekiedy przez Polskę eurosceptycyzm czy naturalne pragnienie zbudowania silnych związków ze Stanami Zjednoczonymi, włączając w to opowiadanie się za ścisłymi więziami transatlantyckimi. Francja ma tu dużo do odrobienia. Jeśli jednak Paryż szczerze podejmie ten trud, odpowiedź Warszawy powinna być jednoznacznie pozytywna. Bliskie porozumienie Paryża, Berlina i Warszawy w podstawowych sprawach europejskich powinno być wnioskiem z wyroków historii i geografii. Nieważne, czy będzie się to odbywać w ramach Trójkąta Weimarskiego czy poza nim. Dla realizacji długofalowych i żywotnych polskich interesów kierunek brytyjski ma drugorzędne znaczenie. Brytyjska koncepcja Europy to z polskiego punktu widzenia syreni śpiew. Pokusa taktycznego posłużenia się porozumieniem z Londynem przeciwko Europie kontynentalnej jest w perspektywie strategicznej ślepą uliczką. Brytyjczycy nie chcą Europy ani solidarnej, ani silnej międzynarodowo. Owszem, możemy jak Londyn chcieć Europy konkurencyjnej i innowacyjnej, lecz trzeba, abyśmy najpierw sami rzetelnie odrobili nasze zadanie domowe w tym zakresie. Retoryki nie potwierdzają ani dotychczasowa rzeczywistość, ani podejmowane działania (znajdujące wyraz np. w strukturze naszego budżetu czy sprzyjającym konkurencyjności ustawodawstwie). Nie należy mylić dziesiątków tysięcy młodych Polaków pracujących w angielskich restauracjach i hotelach (którym raczej powinno się zapewnić pracę w Polsce) z przesłankami strukturalnej wspólnoty interesów między

naszymi krajami; po polskiej stronie sprowadzają się one do *wishful thinking*, po brytyjskiej, która zwykła chodzić po ziemi, nie ma nawet tego.

*

Polska jest tym krajem europejskim, który jest żywotnie zainteresowany w trwałości więzi transatlantyckich. Przemawiają za tym względy polskiej historii i geografii. Rewolucja geopolityczna, która dokonała się w tej części świata za sprawą podwójnego rozszerzenia w 2004 r. (NATO i UE), radykalnie poprawiła naszą sytuację geopolityczną. Więzi transatlantyckie z polskiej perspektywy mają wartość nie dlatego, że odczuwamy strach przed bliższymi czy dalszymi sąsiadami. Dzisiaj nie ma takiego powodu, nawet jeśli stosunki z nimi nie zawsze układają się zgodnie z naszymi oczekiwaniami. Transatlantyckie związki (w tym NATO) mają w naszych oczach podstawowe znaczenie dla utrzymania jedności i pozycji Zachodu we współczesnym świecie. Czujemy się jego częścią i powinniśmy przywiązywać wagę do jego kondycji i międzynarodowej pozycji. Zachód jako cywilizacja znalazł się pod presją różnych zagrożeń, od demograficznego począwszy, a na skutkach różnorodnej polaryzacji na tle procesów globalizacji skończywszy. Przejawami niechęci wobec Zachodu, czy też przede wszystkim wobec polityki mocarstw, które są z nim dzisiaj utożsamiane, są akty terroru dokonywane przez islamskich ekstremistów. Niekwestionowanym przywódcą Zachodu pozostają Stany Zjednoczone. Jeśli zależy nam na przetrwaniu Zachodu jako pewnej całości geopolitycznej, musi nam zależeć na jakości przywództwa. Jeśli jest egoistyczne, ma hegemonistyczne skłonności, nie respektuje zasad, które są naszym wspólnym dorobkiem, jak się to dzieje w przypadku Ameryki G.W. Busha, wszyscy mamy problemy. Takiego przywództwa nie należy bezwarunkowo popierać, nie służy to bowiem długofalowym interesom Polski, Europy i Zachodu. Poparcie dla amerykańskiej polityki powinno być zatem selektywne. Na tym też polega rola prawdziwych sojuszników i przyjaciół – na umiejętności powiedzenia swemu przywódcy, że jest w błędzie, że jego polityka w jakiejś konkretnej sprawie nie jest słuszna. Nieumiejętność wypowiedzenia własnego zdania zawsze wtedy, gdy zachodzi potrzeba, czyni z sojuszników satelitów. I Polska, z uwagi na jej przeszłość, powinna być na to szczególnie wyczulona. To samo dotyczy prób podporządkowania NATO jednej, doraźnej wizji świata i interesom jednego mocarstwa. NATO

jest zbyt ważne dla trwałości wspólnoty atlantyckiej, aby na to pozwolić.

W ten sposób przechodzimy do zagadnienia stosunków ze Stanami Zjednoczonymi. **Współpraca polityczna Waszyngtonu z Warszawą stała się jednym z głównych sukcesów i atutów polskiej dyplomacji** od połowy lat dziewięćdziesiątych. Jednocześnie w Polsce pojawiła się w ostatnich latach tendencja do traktowania tej współpracy jako wartości samej w sobie, bez wnikania w jej konkretną treść, prawdziwe, a nie jedynie propagandowe korzyści, jej implikacje dla innych kierunków i zagadnień naszej polityki zagranicznej. Doszło do tego, że każda krytyczna uwaga wypowiedziana pod adresem takiego czy innego aspektu tych stosunków, zwłaszcza w związku z wojną z Irakiem, była natychmiast zakrzykiwana oskarżeniami o antyamerykanizm. Niepostrzeżenie stosunki ze Stanami Zjednoczonymi stały się świętością, na wzór tych, jakie łączyły Polskę z innym mocarstwem w nieodległej przeszłości. Suwerennego państwa nie stać na tego rodzaju podejście do jakichkolwiek stosunków zewnętrznych. Uniemożliwia ono bowiem samodzielność analizy i podejmowania decyzji. Prowadzi do zależności, która choćby „na własne życzenie” (jak próbowano to niekiedy usprawiedliwiać) nie jest korzystna dla interesów narodowych Polski. Sojusz (poprzez NATO) oraz bliskie więzi ze Stanami Zjednoczonymi nie wymagają tego rodzaju postawy. Wystarczy spojrzeć na przykład wielu innych państw europejskich. Brak odwagi w prezentowaniu własnych racji i dbaniu o własne interesy w stosunkach z mocarstwami prowadzi do tego, że te racje i interesy nie są przez nie uwzględniane. Nie ma to nic wspólnego z ideą partnerstwa, bo ono jest oczywiście niemożliwe wobec tej asymetrii potencjału. Chodzi jedynie o to, aby nie było asymetrii korzyści (na korzyść mocarstwa) wtedy, gdy nie ma dla niej uzasadnienia. W Waszyngtonie dobrze wiadomo, iż jeżeli coś lub kogoś można mieć tanio lub za darmo, to dlaczego nie. Pokazano to w sposób aż nadto widoczny w stosunku do Polski (np. sprawa drogich opłat za aplikacje wizowe czy kandydowania premiera Marka Belki na stanowisko szefa OECD). Częstych pobytów w Białym Domu czy innych agendach administracji amerykańskiej lub medialnych gestów nie należy mylić z treścią stosunków dwustronnych. Polityczny *bandwagoning*, który Warszawa zademonstrowała przy okazji sprawy irackiej, był nie tylko zbędny, lecz także mało opłacalny. Sytuacja Polski w NATO i Unii Europejskiej nie wymaga tak daleko idącego zaangażowania w popieranie globalnych interesów

Ameryki, jak to się działo w ostatnich latach. Ropę i gaz sprowadzamy z Rosji, nie z Iraku, a na pomoc Waszyngtonu w tej sprawie nie możemy liczyć. Przeciwnie, w tej dziedzinie mamy do czynienia z bliską współpracą firm amerykańskich i rosyjskich, która nie jest korzystna dla państw Europy Wschodniej i Środkowej. Zrównoważenie tych stosunków, a zarazem utrzymanie bliskiej współpracy politycznej będzie nie lada zadaniem na najbliższe lata, zwłaszcza że styl polityki zagranicznej tej administracji nie będzie tego ułatwiać. Tak czy inaczej, jego podjęcie należy do nas.

*

Rozwój sytuacji w krajach leżących na wschód od Polski jest ważny nie tylko dla nas. Istotą polskiej polityki wschodniej w ostatnich latach było dążenie do tego, aby te kraje stały się częścią Europy i Zachodu, to znaczy, aby stały się częścią szerszej strefy stabilności opartej na zasadach demokracji i otwartej gospodarki rynkowej. Chodziło o to, aby ze stosunków między krajami tej części Europy usunąć historyczne atawizmy i animozje, i aby one same przestały być źródłem zagrożeń na tle sporów etnicznych, naruszeń praw człowieka, polityki dominacji wyrządzającej szkody sąsiadom. W toku ewolucji zapoczątkowanej upadkiem komunizmu i rozpadem Związku Sowieckiego udało się wiele osiągnąć, choć historyczne obciążenia, będące właśnie pozostałością po sowieckim panowaniu, są główną przeszkodą w scalaniu długo wcześniej podzielonej Europy. Doświadczenie naszego zaangażowania na tym obszarze pokazuje, że dla zapewnienia sukcesu ustrojowej transformacji w postsowieckiej części Europy niezbędne jest włączenie się Unii Europejskiej (i NATO). Wykazywany przez nas w tej mierze prometeizm nie będzie szkodził naszym interesom tylko wtedy, gdy stanie się częścią szerszej europejskiej czy wręcz zachodniej polityki. Nie możemy mieć złudzeń, samotne popieranie przez Warszawę procesów demokratycznych na Ukrainie i Białorusi będzie odbierane w Moskwie jako naruszanie jej post-imperialnej strefy wpływów i będzie wywoływać nieprzyjazne Polsce reakcje. Problemem rosyjskiej polityki jest immanentny brak życzliwości wobec jej sąsiadów. Tradycją zaś rosyjskiej polityki pozostaje postrzeganie stosunków międzynarodowych jako gry o sumie zerowej i stałe – siłą, naciskiem, podstępem – wymuszanie na sąsiadach ustępstw uzasadnianych wyłącznie „naturalnym prawem mocarstwa” do otrzymywania wszystkiego, co uważa, iż mu się należy, niezależnie od strat i krzywd wyrządzanych innym.

Polityce Moskwy nadal obce są takie pojęcia, jak: „moralność”, „przyzwoitość”, „dobro wspólne”. Dlatego fiaskiem kończyły się wszystkie podejmowane przez Warszawę próby pozytywnego ułożenia stosunków wzajemnych.

Polski prometeizm wobec Europy Wschodniej musi być wsparty unijną *Realpolitik*. Tylko ona dysponuje instrumentami, za pomocą których można wywierać długofalowy wpływ na procesy polityczne, społeczne i ekonomiczne zachodzące w Rosji, na Ukrainie czy Białorusi. Próby samotnego forsowania przez Polskę europejskich standardów praw człowieka czy demokracji, tym bardziej w Rosji, będą nie tylko nieskuteczne, lecz także niekorzystne dla naszych interesów. Nie sądzę, aby udało się nakłonić Moskwę do szybkiej akceptacji naszej, choć także zgodnej z prawdą materialną, interpretacji historii, szczególnie w odniesieniu do II wojny światowej. Trzeba jedynie sprawić, aby „naszą” prawdę znali nasi zachodni partnerzy, wtedy będą mniej podatni na rosyjskie manipulacje. Jednak w stosunkach dwustronnych z Moskwą możemy sobie pozwolić na spokojniejszy ton w retoryce i mediach. Z tej strony nie musimy się obawiać żadnych zagrożeń. Imperia raz upadła, nie są zdolne się odrodzić. Postimperialne frustracje można przeczekać. Moskwa ma mimo wszystko możliwości rozmyślnego ignorowania naszych interesów, jeśli polskie harce jej dokuczają. Projekt rurociągu północnego jest tego przykładem. Nie możemy się gniewać na to, że inni łatwiej się z Moskwą dogadują. Takie są ich interesy. My także powinniśmy o nich pamiętać, zwłaszcza że nasze bezmyślność i zaniechania (brak zmysłu strategicznego) w ciągu ostatnich piętnastu lat utrwaliły ogromną zależność Polski od dostaw rosyjskich surowców energetycznych. Bezpieczeństwo energetyczne Polski zależy nie od naszej obecności militarnej w Iraku, lecz od umiejętnego układania stosunków z Rosją i wypracowania wspólnej polityki energetycznej Unii. Natomiast polskie zaangażowanie w przemiany na Ukrainie, doceniając ich geopolityczny walor, nie powinno wyprzedzać gotowości jej samej do zmian. Jeśli chodzi o Ukrainę, ważne są gesty i kontakty polityczne. Niemniej stawka, jaką jest jej europejska orientacja (wcale jeszcze nieprzesądzona), wymaga także o wiele solidniejszego i długotrwałego zaangażowania materialnego (od szerokich programów stypendialnych po większe środki na działalność organizacji pozarządowych). Nie powinniśmy zarazem obiecywać rzeczy niemożliwych, które nie zależą od nas, na przykład perspektyw szybkiego członkostwa w Unii Europejskiej. Możemy się narazić na pretensje

obu stron. Znacznie większą wartość będzie mieć uświadamianie Ukraińcom, że na drodze do Unii czeka ich trud i pot, i choć realistycznie rzecz biorąc, może to zająć 20–25 lat, to warto, bo każda inna opcja jest dla nich zwyczajnie gorsza. Sytuacja na Białorusi będzie funkcją polityki Rosji wobec tego kraju i liczenie na kolorową rewolucję tutaj jest zwykłą iluzją. Nie zrobią jej sami Białorusini i nie powinna jej robić polska mniejszość. I w tym kraju również potrzebna jest polityka długofalowa, której istotnym elementem jest działalność podmiotów pozarządowych.

*

Jest rzeczą oczywistą, iż pozycja Polski, nie licząc własnego rozumnego wysiłku, w największym stopniu zależy od sytuacji w Europie oraz od tego, jak układają się relacje atlantyckie. Zależy ona również od tendencji i zjawisk zachodzących w szerszym, **globalnym porządku międzynarodowym**. Dotyczy to siły prawa i instytucji międzynarodowych, roli siły militarnej w światowej polityce, natury procesów globalizacji i ich społecznych oraz kulturowych konsekwencji, relacji międzycywilizacyjnych, stanu globalnych zasobów naturalnych i sposobów ich wykorzystywania. Jako kraj niezbyt silny i średnio rozwinięty powinniśmy się opowiadać za poszanowaniem norm międzynarodowych, respektowaniem praw człowieka, zmniejszaniem miejsca siły wojskowej w życiu międzynarodowym, za takim kształtowaniem procesów globalizacji, aby nie pogłębiała nierówności społecznych w poszczególnych krajach, regionach i na całym świecie i nie stwarzała zagrożenia dla tożsamości narodowej i kulturowej, która stanowi o bogactwie życia ludzkiego na naszej planecie. Dotyczy to również naszego ziemskiego środowiska naturalnego, które nie powinno być przedmiotem darwinistycznej, drapieżnej eksploatacji, bez oglądania się na potrzeby innych, a zwłaszcza przyszłych pokoleń. Pod tym kątem warto oceniać różne doraźne doktryny użycia siły, projekty wyścigu zbrojeń (np. NMD), traktaty wielostronne z zakresu praw człowieka czy ochrony środowiska naturalnego, pozycję, kondycję i kierunek reform ONZ, a także działalność instytucji międzynarodowych, tych powszechnych i tych bardziej elitarnych, w sferze handlu i finansów międzynarodowych. Co się tyczy trudnych niekiedy spraw w stosunkach między cywilizacjami, to należy wyraźnie odróżniać konieczność stanowczej postawy, kiedy jesteśmy atakowani na naszym własnym terytorium, jak w przypadku jesiennej rebelii we Francji, od wymogu unikania zachowań agre-

sywnych czy stanowiących zagrożenie dla tożsamości innych na ich własnym obszarze (*vide* wojna w Iraku). W tym sensie obowiązuje nas również solidarność z walką Izraela o zapewnienie sobie bezpieczeństwa na jego uznanym międzynarodowo terytorium (Izrael, jako część zachodniej cywilizacji, jest tam u siebie).

Podstawą naszych poczynań na scenie międzynarodowej, szczególnie kontaktów z naszymi najbliższymi partnerami, musi być **solidne zaplecze polityki zagranicznej RP**. Dotyczy to aspektu instytucjonalnego, na który składa się zarówno dobra koordynacja działań różnych organów państwa i sprawność w wyrażaniu stanowiska Polski wobec wszystkich istotnych zagadnień międzynarodowych, jak i umiejętność realizowania wynegocjowanych korzyści (unijna pomoc – fatalnie niski stan jej wykorzystywania, *offset*).

Kolejnym warunkiem jest istnienie należytej jakości zaplecza ekspercko-analitycznego. Nie należy się ograniczać do postulowania rozwoju gospodarki opartej na wiedzy. Na wiedzy w jeszcze większym stopniu powinna być oparta polityka, także zagraniczna. Potrzebne są nie tylko dobre ośrodki analityczne, lecz także gotowość (przyzwyczajenie) do korzystania z nich przez polityków. Tylko wtedy polska myśl polityczna będzie mogła prawidłowo „odczytywać obraz świata” (S. Kisielewski) i wyciągać właściwe wnioski dla polskiej polityki w trosce o nasze miejsce w rodzinie narodów europejskich. I wreszcie, pieniądze. Polska należy do krajów o najniższych nakładach na politykę zagraniczną (około 0,4% budżetu państwa wobec przeciętnej europejskiej w granicach 1%), co jest sprzeczne z koniecznością aktywnego zaangażowania Polski w kształtowanie jej zewnętrznego otoczenia, zważywszy na specyfikę naszego położenia w Europie, wewnętrznych potrzeb i uzasadnionych aspiracji międzynarodowych.

W polityce, jak życiu, nic nie jest dane raz na zawsze. Osiągnęliśmy, wzięwszy pod uwagę punkt wyjścia, duże sukcesy. Sprzyjała nam ewolucja sytuacji w Europie i na świecie. W tym czasie mieliśmy także swoje historyczne pięć minut. Jednakże dynamika zmian nie musi być stale korzystna; nie zawsze też musimy mieć szczęśliwą rękę w naszych wyborach i decyzjach. Tym, co zawsze pomaga, jest dobre odczytywanie kierunku rozwoju otaczającej nas rzeczywistości oraz staranność w wykonaniu polityki służącej obronie interesów narodowych. W polskim rozpięciu między romantyzmem a pozytywizmem ważne jest znajdowanie właściwego na dany czas punktu ciężkości. Sukcesy szkoły romantycznej

(wspierane nierzadko zegarmistrzowskim wykonaniem) wymagają zagospodarowania pracą organiczną. Odpowiedzią na niewspółmierne do potencjału aspiracje i szarżę może być zwykłe „sprawdzam” w wykonaniu naszych partnerów (są tego oznaki w stosunkach z naszymi bezpośrednimi sąsiadami ze wschodu i zachodu). Wtedy retoryka i doraźne „partnerstwa strategiczne” (np. z Londynem) nie zastąpią solidnego zaplecza.

10 listopada 2005

Roman Kuźniar